

# On tu jest u siebie

Autor: Zygmunt Skibicki  
15.12.2008.

Już nie czułem głodu. Końcówkę kanapki dałem Matowi. Ułożył się obok ręcznika i jadł spokojnie. Jego brązowa sierść była już prawie sucha. Moje włosy też dosychały. Słońce odbijało się w lustrze jeziora. Nie chciało mi się ruszać z miejsca. Do przejścia zostało nam jeszcze ponad dziesięć kilometrów, ale pora była wczesna. Wyciągnąłem się więc na ręczniku i patrzyłem na pluskające o brzeg drobne fale. A może tylko ich słuchałem. Lubiłem tą leśną ciszę. Ciszę, która wcale nie jest pozbawiona licznych dźwięków: szumu wiatru w koronach sosen, głosów całkiem licznych ptaków, plusku a przy silnym wietrze szumu rozpedzonych fal, trzasków spadających gałęzi i niekiedy tętentu zrywającego się do biegu stada jeleni. Jak na ciszę to bywało tu całkiem głośno.

Jezioro leżało głęboko w lasach, dobre cztery kilometry od najbliższych domostw. Większych i mniejszych jezior jest tu dużo, a to właśnie jezioro chyba nie przypadło nikomu do gustu. Nie pamiętam ile razy już tu byłem, ale tylko raz spotkałem człowieka. Może ryb tu jest mało?

Przyjeżdżam w te lasy na letnie spacerki. Razem z moim małym psem, który właśnie drzemie przy nogach, lubimy te włóczki po lasach. W ciągu takiego dnia robię dobrze ponad dwadzieścia kilometrów a on pewnie dużo więcej. Nawet teraz, gdy skończył piętnaście lat psiego żywota.

W upalne dni pływamy dla ochłody w tym jeziorze. Fajnie jest sunąć klasyczną żabką a obok mieć swojego psa, który płynie klasycznym pieskiem. Potem wychodzimy na brzeg. On otrząsa się rozpylając wodę a ja wycieram się ręcznikiem. Po kąpieli zjadamy przyniesiony posiłek i czasem jeszcze długo leżymy na brzegu.

To właśnie koło tego jeziora zaczęła się nasza znajomość. Wiele lat temu spędzałem urlop w tej okolicy. Końcówka sezonu zawsze pozwala odpocząć od tłumów letników. W lasach koło wsi zaczęli pojawiać się grzybiarze. W głębi lasów było jednak jak zwykle pusto. Nawet miejscowi nie zapuszczali się tak daleko. Zbieracze żyjący ze sprzedaży grzybów nie musieli się nachodzić. Tu grzyby rosną tuż za domem.

Czasem nawet na podwórkach.

Zrobiłem sobie odpoczynek nad jeziorem jedząc kanapki. I wtedy przyszła ta suka. W takie ostępy nie zapuszczają się psy domowe. Ślad po obroży wskazywał jednak na posiadanie właściciela. Rozejrzałem się, nawet chwilę nasłuchiwałem. Nikt jednak nie nadszedł.

Z widocznym wahaniem, ale jednak zaczęła się powoli i ostrożnie zbliżać. Była wyraźnie zabiedzona. W oczach miała przeraźliwy głód. Wpatrywała się w moją kanapkę. Ja chyba wcale jej nie obchodziłem, bo jak tylko odsunąłem rękę z chlebem od ust, przestała patrzeć na mnie. Jej wzrok skierowany był wyłącznie na jedzenie. Dałem jej ten chleb. Wchłonęła go błyskawicznie. W plecaku miałem jeszcze jedną kanapkę. Rzuciłem jej kawałki tak, że upadały coraz bliżej mnie. Wcale się nie boczyła ani nie uciekała po złapaniu kęsa. Ostatni kawałek dałem jej z ręki. Wzięła i łapczywie zjadła.

Usiadła blisko i patrzyła mi w twarz. Pokazałem gestem, że nie mam więcej. Chyba zrozumiała, bo położyła się nie patrząc już na mnie. Po chwili zaczęło się jej odbijać. Kilka skurczów szarpnęło całym jej ciałem. Podniosła się więc i podeszła do wody. Lekko zatoczyła się na tym krótkim odcinku. Długo chęptała. Zebrałem się do drogi.

Kiedy tylko wstałem przestała pić i poszła za mną. Odchodziłem w tym kierunku z którego przyszła więc nie dziwiłem się, że szła za mną. Kilka razy obejrzałem się. Szła wolno, ale ja także nie spieszyłem się. Jakiś czas szliśmy tak razem.

W pewnym miejscu jednak usiadła na leśnej drodze i dalej nie poszła. Droga była na długim odcinku zupełnie prosta i płaska, więc widziałem ją jeszcze z dużej odległości. Znałem już wtedy te lasy bardzo dobrze i zastanawiało mnie, z której wioski może pochodzić. Dlaczego tak siedzi na środku drogi? Zawróciłem. Miałem jeszcze w kieszeni kawałek bardzo suchej kiełbasy. Kiedy podeszedłem blisko, wstała i odeszła w głąb lasu. Po kilku metrach odwróciła się i stanęła. Wyciągnąłem rękę z kiełbasą, ale nie podeszła. Kiedy ruszyłem za nią kilka kroków, poszła dalej. Stanąłem. Ona też. Znów kilka kroków. To samo.

Skoro nie chcesz &ndash; pomyślałem, zawróciłem i poszedłem w swoją stronę. Wcale nie chciałem jej zwabić ani tym bardziej stamtąd zabierać. Chciałem tylko dać głodnemu psu kawałek kiełbasy, o którym zapomniałem nad jeziorem. Też byłem trochę głodny bo oddałem jej prawie cały posiłek. Pogryzając kiełbasę szedłem dalej. Kiedy byłem już dość daleko odwróciłem się jednak. Przez lornetkę dostrzegłem siedzącego na drodze psa. Nic nie rozumiałem.

Całe popołudnie i wieczór myślałem o tym spotkaniu. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Nigdy wcześniej nie miałem psa. Jeśli nawet ta suka zgubiła się i nie mogła odnaleźć właściciela, dlaczego nie poszła za życzliwym mu człowiekiem? Oddałem jej prawie cały mój posiłek, więc chyba wykazałem swoją życzliwość? Skoro poszła za mną natychmiast, gdy tylko ruszyłem, więc chyba chciała iść? Co ją zatrzymywało?

Takie pytania uparczywie wracały. Zauważyłem, że to była suka, ale myślałem o niej właśnie jak o psie. Nie psie - samcu, ale o psie w ogóle.

Rano przy śniadaniu znów przypomniał mi się głodny wzrok napotkanego zwierzaka. Zabrałem tym razem sporo kanapek i od gospodyni wycygałem kawałek surowego mięsa. Szybko wyszedłem. Najkrótszą możliwie drogą skierowałem się nad jezioro. Od miejsca, gdzie widziałem sukę po raz ostatni głośno gwizdałem jakąś melodię.

Gdy tylko przysiadłem nad wodą, z lasu wyłoniła się moja znajoma. Nie wyszła, nie wybiegła, a wręcz wychynęła. Podchodząc zataczała się jak pijana. Była jeszcze bardziej osłabiona. Natychmiast dałem jej wszystkie zapasy. Jadła może nie tak łapczywie jak poprzedniego dnia, ale wchłonęła dokładnie wszystko. Strachu, że nie zdąży zjeść nie było w niej wcale. Dwa razy przerwała jedzenie i odchodziła napić się. Chwilę poleżała, wolno podniosła się i oglądając się poszła w las. Tym razem poszedłem za nią. Las nie był wcale gęsty. Sosnowy starodrzew pozwalał widzieć na sporą odległość. Suka była nieduża, ale poszycie też nie było głębokie. Co chwila oglądała się za mną, ale widząc że nie przystaję szła dalej. Coś czułem, ale nie wiedziałem co. Lekki napływ adrenaliny zaostrzył zmysły. To co czułem, to był chyba strach. Będąc w głębokim lesie bez kawałka solidnego noża podniosłem złomek żerdzi. Kiedy tylko przystanąłem aby szczyrykiem poobcinać z kija zbędne odrosty, moja znajoma też się zatrzymała. Poszła dalej gdy ruszyłem. W pewnym momencie zniknęła mi z oczu.

Podszedłem do miejsca gdzie widziałem ją po raz ostatni. Stałem nad lisią norą i rozglądałem się bezradnie. Nigdzie jej nie było. Już chciałem zagwizdać, gdy wyłoniła się z tej nory niosąc w pysku maleńkiego szczeniaka. Położyła mi go pod nogami i zniknęła w norze. W tym momencie zrozumiałem wszystko. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Oszczeniła się w tej norze i karmiąc szczeniaki traciła siły. Domowy pies nie potrafi w lesie niczego upolować. Słabła więc z dnia na dzień. Do ludzkich domostw jest stąd daleko. Dla samotnego psa taki dystans to fraszka, ale suka nie mogła odejść od szczeniaków na znaczną odległość. Byłem zapewne jedynym człowiekiem, który zapuścił się w tą okolicę w czasie od oszczenia się.

To dlatego wtedy szła za mną, ale tylko w kierunku nory. Gdy zacząłem oddalać się od jej gniazda, zostawała. Pewnie nie miała siły zabiec mi drogę i szczekając sprowadzić do swoich maluchów.

To wszystko dotarło do mnie zanim wyniosła mi następne szczenię. Ruszały się zupełnie nieporadnie. Potem wyniosła jeszcze trzy. Każdy był innej maści: szare, czarne, łaciate. Jeden był nawet brązowy. Stałem bezradnie nad pięcioma szczeniakami a ona siedziała i patrzyła mi w oczy. Zupełnie nie wiedziałem co mam robić.

Zdawałem sobie sprawę, że trzeba zabrać całe stadko z tego lasu, ale jak to zrobić? Miałem ze sobą tylko mały plecaczek. W rękach nie dam rady pomieścić pięciu szczeniaków. Ich matka też nie da rady samodzielnie przejść dziesięciu kilometrów. Kiedy tylko któryś malec odchodził od reszty natychmiast zawracała go przesuwając nosem. Już zaczynałem kombinować jak zostawić ją ze szczeniakami i wrócić do wsi po samochód, gdy zobaczyłem to.

Do pobliskiego drzewa ktoś przywiązał mocną stilonową smycz a na jej końcu była zapięta skórzana obroża. Podszedłem bliżej. Taśma miała wyraźne ślady po próbach przegryzienia. Pod drzewem były nikle, ale nie budzące wątpliwości ślady po porodzie.

Suka trzymała się bardzo blisko mnie, ale gdy tylko dotknąłem smyczy odskoczyła z piskiem do szczeniaków. Nawet nie próbowałem zmierzyć rozmiaru obroży. Reakcja suki była nawet dla mnie oczywista. To była jej smycz.

Szarpała się zapewne długo aż wreszcie oszczeniła się uwiązana na tej cholerniej smyczy. Jakoś udało się jej wyciągnąć łeb z obroży i wtedy pewnie zaniosiła szczeniaki do pobliskiej nory. Zapewne to ona zjadła resztki po porodzie. A cóż innego miała jeść w obcym jej lesie.

Rzadko kiedy tak kłąłem. Zebrałem szczeniaki do zdjętej koszuli i wolno ruszyłem do wsi. Suka na początku dotrzymywała mi kroku. Po kilometrze było jasne, że tak wolno iść nie możemy. Dała się wziąć na ręce bez najmniejszego protestu. Nie sprawiała wrażenia domowego psa pachnącego szamponem. W stanie, w którym była, dotknięcie jej gołym ciałem nie było rozkoszne.

Moja gospodyni nie była uradowana powiększeniem inwentarza, ale bez słowa wymyła i nakarmiła całe stadko. Szczeniaki chęptały mleko - aż miło było patrzeć. Ludzie mieszkający na wsi mają prostą hierarchię wartości. Głodną istotę należy w miarę swoich możliwości nakarmić. Wszystko jedno czy jest to człowiek, czy zwierz.

Mnie chyba też się spodobała ta leśna czereda, bo w ciągu tych kilku ostatnich dni urlopu nie chodziłem już do lasu. Suka nie odstępowała mnie na krok, ale od szczeniaków nie odeszłaby z pewnością.

Wyjeżdżając zamówiłem sobie tego brązowego szczeniaka. Po kilku tygodniach wróciłem po niego i tak zostałem właścicielem &bdquo;leśnego zwierza&rdquo;. W domu nazwaliśmy go Mat i tak zostało.

.....

Teraz łaziliśmy razem po naszym lesie. Mijając po drodze leśne siedliska brałem jak zwykle Mata na długą linkę, aby nie zapuszczał się w obejścia. Kiedy odeszliśmy już od kolejnej wsi spuściłem psa z linki i poszliśmy dalej. Po jakimś czasie usłyszałem silnik motoroweru. Po chwili ukazał się na dymiącym

spalinami rumaku jakiś leśnie umundurowany facet z fuzją na plecach. Mat oczywiście musiał go obszczać jak każdego motocyklistę. Ten zatrzymał się przy mnie. To co od niego zalaływało, to nie była żywica sosnowa.

-Czy to pana pies?

Wykręcanie się i tak nie miałyby sensu. Gdy silnik zgasł, Mat przestał ujadać i plątał się przy mnie. Zapach spalin zanikał i zaczął dominować smród dawno nie mytego ciała oraz bimbrowego fuzla.

Cofnąłem się o krok.

-Mój.

-To mamy dwa wyjścia. Albo pan będzie go prowadził na smyczy, albo ja go zastrzelę.

-Proszę pana ten pies nie zrobi nikomu krzywdy. Ma piętnaście lat i żadnego zwierzaka nie dogoni. On się urodził w tym lesie. On tu jest u siebie. Jak ja mam go po jego lesie prowadzić na smyczy.

-To znaczy &ndash; mam strzelać?

Jego Mundurowa Oficjalność nie wyglądał na żartownisia. O podobnych zachowaniach słyszałem już od znajomych.

Gość zsiadł z cherlawej maszyny i bez pośpiechu brał się do strzelby. Mnie też do żartów nie było. Szybko wyciągnąłem z plecaka sporą lustrzanę. Miała zamontowany duży teleobiektyw do fotografowania ptaków na znaczną odległość i w tych warunkach była całkiem nieprzydatna. Ręce mi drżały, ale odwrotu nie było.

-To strzelaj pan. A ja to uwiecznię. Będzie w jutrzejszej gazecie &ndash; blefowałem.

Na szczęście wolał nie ryzykować przejścia w ten sposób do historii leśnictwa.

.....  
Kiedy odjechał, długo siedziałem i głaskałem łeb brązowego towarzysza. Ciekawe, kto bardziej płoszył zwierzynę leśną: my chodząc po nich cicho, czy zawodowi leśnicy rycząc smrodliwymi silnikami. Mój pies czasem pogonił jakiegoś zwierzaka, ale nigdy &ndash; nawet gdy był dużo młodszy i sprawniejszy, żadnego nie dogonił.

Może czasem jakiegoś zwierzaka przestraszył, ale żadnego z nich nie zabił selekcyjnie. Nawet myśliwym nie przeszkadzał, bo chodzimy razem po lesie wyłącznie między śniadaniem i kolacją.

Mnie zdarzyło się kiedyś przeszkodzić myśliwym, kiedy idąc sam na widok ich linii wyjąłem sporych rozmiarów aparat fotograficzny. Widzieli mnie, gdy cicho zająłem dogodną pozycję do robienia zdjęć. Najpierw ustawiali się tyłem do mnie a później odeszli gdzieś nie oddawszy żadnego strzału, mimo że nagonka wygnała na nich sporo zajęcy. A może to nie małe psy a duże teleobiektywy najbardziej przeszkadzają &bdquo;obrońcom&rdquo; zwierzyny leśnej?